

# SZKOŁY WYŻSZE

ORGAN SEKCJI  
SZKÓŁ WYŻSZYCH

Z. N. P.



N<sub>R</sub> 4

KWIECIEŃ

1 9 3 9

# T R E Ś Ć N U M E R U :

L. Krzywicki — Tempora mutantur...

R. Danysz-Fleszarowa — Polonica w Cambridge.

Recenzje:

Wolność badania i wypowiedzania się (Freedom of Inquiry and Expression) rec. T. Żebrowski.

Z. Mocarski — O potrzebie wyższego szkolnictwa na Pomorzu — rec. H. Hiż.

Kronika polska.

Kronika zagraniczna.

## S O M M A I R E :

L. Krzywicki — Tempora mutantur...

R. Danysz-Fleszarowa — Polonica à Cambridge.

Comptes rendus:

Liberté des recherches et liberté d'expression (Freedom of Inquiry and Expression) par T. Żebrowski.

Z. Mocarski — Pour une école supérieure au Nord-Ouest de la Pologne (O potrzebie wyższego szkolnictwa na Pomorzu) par H. Hiż.

Chronique polonaise.

Chronique étrangère.

---

## NAKL. ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

Redaktor: doc. Maria Ossowska (U. J. P.)

Komitet redakcyjny: prof. Antoni B. Dobrowolski (W. W. P.)  
prof. Manfred Kridl (U. S. B.)  
prof. Florian Znaniński (U. Pozn.)

Wydawca w imieniu Z. N. P.: Stanisław Kwiatkowski

„Szkoly Wyższe” ukazywać się będą cztery razy rocznie w rozmiarach od 1½—2 arkuszy. Prenumerata roczna 4 zł, cena pojedynczego zeszytu 1 zł. Członkowie Sekcji Szkół Wyższych Z. N. P. otrzymują pismo bezpłatnie.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Smulikowskiego 4. Tel. Red. 5.17-60.  
Tel. Adm. 2.69-49. Konto P. K. O. 6.880.

# SZKOŁY WYŻSZE

---

ROK I

KWIECIEŃ

Nr 4

*Gwałt dokonany na Czechosłowacji oddaje nowe placówki nauki w ręce przemocy, skazuje nowe rzesze pracowników naukowych na obozy koncentracyjne i tułaczkę. Na tym miejscu przesyłamy wszystkim naszym kolegom, którzy w tej chwili cierpią z powodu swoich przekonań lub pochodzenia wyrazy głębokiego przejęcia się ich losem, tudzież słowa nadziei, że niedaleki już jest dzień, kiedy dana im będzie znowu możliwość uprawiania niczym nieskrępowanej pracy naukowej we własnym kraju.*

REDAKCJA



## TEMPORA MUTANTUR...

Pragnąłbym nieco pomówić o zamieszkach studenckich, które od lat paru stają w poprzek normalnemu biegowi zajęć w zakładach naukowych. Pozostawię na uboczu sprawę przekonań i dążeń, z których powodu uczestnicy tych zamieszek trzymają w niepokoju życie uniwersyteckie. Przy okazji zaznaczam, że cała przepaść przedziela moje poglądy od poglądów protestującego młodego pokolenia. Chodzi mi jednak w moim przyczynku o co innego niż o spór na temat przekonań. Chciałbym zrozumieć samą młodzież, a usunąwszy pokost słów i czynów ocenić jej przyrodzenie emocjonalne i jej dobrą wiarę. Naturalnie będę musiał odwoływać się do faktów. Do faktów zaczerpniętych z niezbyt obszernego zakresu moich własnych spostrzeżeń, nie wybiegających przeważnie poza obręb jednego tylko zakładu naukowego, bodaj najbardziej zrównoważonego w Warszawie, gdzie w masie swojej młodzież, pomimo prób podrywania powagi wieloletniego kierownika, spoglądała nań z poważaniem. Inicjatorzy zamieszek często, a może nawet aż nazbyt często zjawiali się z zewnątrz, zabezpieczając się przeciwko możliwemu utożsamieniu zasłoną dymu, wydobywającego się z tak zwanych świec dymnych. Wiem, że w innych wyższych zakładach naukowych wypadki toczyły się torami o wiele niebezpieczniejszymi. Byłem z dala od takich zamieszek. Nie dotykam ich przeto, ponieważ musiałbym się odwołać wtedy do cudzych opowieści, a wiem znowu z doświadczeń wieloletnich, ile w takich relacjach bywa zwykle zabarwienia subiektywnego i jak bądź swoją przesadą, bądź zwłaszcza ukrywaniem wielu rzeczy odbiegają od rzeczywistości.

Celem pozyskania potrzebnych mi porównań odwołam się do Schodki Apuchtinowskiej w roku 1883.

Ostatnimi czasy jakoś tak się złożyło iż musiałem wydobyć ją z przeszłości dwukrotnie — w pierwszym wypadku zajmować się jedynie jej rodowodami i przebiegiem, w drugim — zaczepić o nią w związku z otrząsaniem się naszej społeczności spod jarzma lojalizmu, a nawet serwilizmu lat 1864—1880. Obecnie jeszcze raz skorzystam z tego wydarzenia, ażeby uwydatnić różnicę w taktyce i postępowaniu dwóch pokoleń: jednego, które około roku 1880 jeło walczyć o swoje ideały rzucając wyzwanie caratowi, drugiego, które od lat kilku opowiada o swoim posłannictwie dziejowym wśród nieustających zamieszek uniwersyteckich, bądź wyczynów poza obrębem zakładów naukowych.

Lecz na początek nieco liczb.

Uniwersytet warszawski w roku 1880 liczył 826 studentów wszelkiego wyznania i narodowości (wraz z wolnymi słuchaczami), oraz 207 farmaceutów, którzy trzymali się na uboczu od młodzieży uniwersyteckiej, a raczej

ta odżegnywała się od nich przy każdej okazji z całą stanowczością. W roku 1883 liczba studentów mogła być nieco większa, ale powątpiewam, czy przekraczała liczbę 900 akademików. Po Schodce wydano z uniwersytetu 133 jej uczestników, nadto uległo łagodniejszej karze dyscyplinarnej 24. Ukarani w ten lub inny sposób tworzyli 15—17% ogółu akademickiego. Przyznam się, byliśmy przygnębieni, iż było nas tak mało. Dzisiaj jednak jestem innego zdania: z dumą mogę powiedzieć, iż było nas bardzo wielu! Bo oto biorę sławną blokadę akademicką w Auditorium Maximum<sup>1)</sup>, która zakończyła się wtargnięciem policji. Podane liczby jej uczestników różnią się między sobą w tych źródłach, do których zaglądałem, lecz w żadnym nie przewyższają 300 na początku, a wahają się bodaj około 200 w chwili zakończenia blokady. W uniwersytecie było zapisanych wtedy ponad 9.000 słuchaczy. Poprzestanę na zaokrąglonej liczbie tysięcy celem uproszczenia obrachunków. Z tych liczb wynika, że akademicy, urządzający blokadę, w chwili usadowienia się w Auditorium Maximum tworzyli w przybliżeniu 3,3% ogółu młodzieży zapisanej na studia w uniwersytecie, przy zakończeniu zaś policja wylegitymowała mniej więcej około 2,2%. Jeszcze raz powtarzam, jestem dumny z licznego stawienia się młodzieży na Schodkę Apuchtinowską, tym bardziej iż największe możliwe kary grożące członkom blokady z roku 1936 nie mogą kusić się o jakiegokolwiek porównanie ze skutkami naszego protestu. Wprowadzie blokadę w Auditorium Maximum urządził jeden tylko odłam Obozu Wszechpolskiego, ale bodaj najbardziej uporczywy, gdy chodzi o hasła antysemityczne. Ażeby manifestacje współczesne osiągnęły rozmiary odsetkowe roku 1883, na placu winno było podczas blokady stanąć 1.570 studentów gotowych na jak najcięższe konsekwencje swego postępków. A o surowości kar wymierzonych za Apuchtinadę dadzą pojęcie następujące liczby wzięte w stosunku do owych hipotetycznych 1.570 uczestników. Otóż jakichś 340 skazano by na wydalenie trzyletnie, a właściwie zupełnie, bez prawa wstępu kiedykolwiek do jakiegokolwiek uniwersytetu; o kilka głów więcej na dwuletnie, oraz nieco mniej na jednoroczne usunięcie z uniwersytetu; i wreszcie jakichś 270 wydalonoby na rok z prawem ponownego wstępu do uniwersytetu warszawskiego po przejściu tego terminu. Innych lżej ukaranych opuszczamy. I dodajmy, że w r. 1883 żadna bojówka nie trzymała na więzi tych, którzy zeszli się celem protestu i ściągnęli na siebie tak dotkliwie kary.

Wyprowadzone w powyższym suche liczby statystyczne niechaj służą jako tło, na które obecnie rzucimy żywe zastępy młodzieży, i tu i tam pełne namiętności, lecz niezmiernie odmienne pod względem przekonań!

Pokolenie z roku 1883 skupiało się dokoła sztandaru, na którym były wypisane hasła humanitarne, uzupełnione, odpowiednio do przekonań tych

---

1) Jesienią w roku 1936 w Uniwersytecie J. Piłsudskiego.



lub innych uczestników, szczególniejszymi godłami dodatkowymi, między innymi demokratycznym credo o Polsce ludowej. Pokolenie obecne drwi ze wszelkich humanitaryzmów jako wymysłów „żydowskich”. A przede wszystkim jest ułomne wąskością widnokręgów, wężąc zawsze i wszędzie Żyda, jako sprawczą potęgę o złowrogim obliczu.

Ale tym przekonaniom niewątpliwie towarzyszy w obecnym pokoleniu, jak towarzyszyła w dawnym, dobra wiara. Wypadło mi w Szkole Głównej Handlowej znajdować się po środku tłumu manifestującego, a z uczestnikami innych zamieszek prowadzić w pokoju profesorskim dłuższe rozmowy. Wobec obawy, że Szkoła może być zamknięta na czas nieokreślony, ci i owi wymykali się spośród manifestantów po podpis na indeksie i wciągali się w dłuższą ze mną pogawędkę. Inni, zapisani do mojego Seminarium, odwiedzali mnie w moim prywatnym mieszkaniu. Podczas rozmów gorąco bronili swoich przekonań i je uzasadniali. Była to młodzież niewątpliwie chętna, niewątpliwie dobrej woli, lecz o instynktach społecznych zabarwionych w osobliwy sposób. Poglądy swoje niekiedy, że tak powiem, wyssała, z mlekiem matki, ze swego otoczenia domowego. Niektórzy, zwłaszcza pochodzący z małych miasteczek, odwoływali się do własnych spostrzeżeń i na nich opierali swoje wywody, lecz prawie wszyscy przedstawiali nieznanym mi z dawnych czasów typ młodzieńca bardzo mało czytanego, nie wybiegającego w swoich widnokręgach poza nastroje otoczenia rodzinnego, wyznającego poglądy nieprześwietlone przez jakiegokolwiek głębsze studia nad istotą społeczeństwa i fanatycznie wierzącego w słuszność swoich założeń i wyczynów praktycznych. Mówię wciąż o tłumie, o tym szarym tłumie, który w zaburzeniach zachowuje raczej milczenie, a co najwyżej odgrywa rolę chóru, idzie za podsuniętą pobudką, lecz nie wyłania inicjatorów, acz podniecony nie zawsze umie umiarkować swoje czyny.

Oto obraz takiej gromady podczas jednego z czynnych wystąpień

Wchodzę do wyższego zakładu naukowego, w którym podówczas wykladałem. Akurat odbywała się w nim manifestacja. Akcja rozpoczęła się była już wcześniej. Po gwałtowniejszym występie była to chwila odpoczynku i powzięcia dalszych decyzji. Hall dolny był tak zwarcie przepelniony, że przysłowiowa szpilka, rzucona z góry, nie zdołałaby dotrzeć do podłogi. Zmusiwszy pedli do otwarcia mi drzwi wejściowych znalazłem się wobec, przypuszczam, jakich dwustu, a może i trzystu lub więcej studentów. W powietrzu tułały się resztki dymnej zasłony, której jeszcze nie rozwiało świeże powietrze, napływające poprzez otwarte okna. Tłum zachowywał się spokojnie, tylko w głębi odzywały się głośne okrzyki: Hańba! Hańba! skierowane bądź przeciwko rektorowi, bądź różnym wymaganiom Szkoły. Okrzyki rozlegały się co pewien czas. Jednak nie sądzę, ażeby wychodziły z gardła więcej niż czterech-pięciu, bodaj wciąż tych samych uczestników. Gromada zachowywała się milcząco i okrzykom nie wtórowała,

choć niewątpliwie solidaryzowała się z celami manifestacji. Chciałem się przedostać do kancelarii. Musiałem przebyć cały hall i wychodzący zeń korytarz. Rzuciłem pytanie: Czy panowie przepuszczają? Usuwali się, wołając „Puścić profesora, nie ruszać go!” Wreszcie, acz z trudem, przedostałem się. Okazało się, że kancelaria i rektorat były zamknięte z wnętrza na klucz, a przed drzwiami do kancelarii i kwestury jakiś młodzieniec unosząc ławkę w górę usiłował wywalić okno znajdujące się nad nimi, któryś zaś z asystentów ławkę tę odpychał. Cały tłum przypatrywał się tym zmaganiom w milczeniu. Jedynie słysząc było spośród niego znów okrzyki: „Nie ruszać profesorów!” Właśnie z paroma uczestnikami tej manifestacji prowadziłem na uboczu rozmowy. Mili, dobrych chęci młodzieńcy, tylko o umysłowości strasznie pierwotnej.

Ale nie zawsze rzecz odbywała się tak gładko, jak w tym wypadku. Zresztą znalazłem się wśród manifestantów w chwili spokojniejszej. Rzecz rozpoczęto przed godziną od rzucenia paru dymnych świec — wśród czarnego obłoku wodzirejowie mogli uwijać się bezkarnie i posuwać się do gwałtów, dym służył jako zasłona przed władzami. Tego początku, będącego występem podżegaczy, nie oglądałem, jedynie słyszałem o poważnym poranieniu jednego z przeciwników.

Przebieg bywa ostrzejszy, gdy wśród gromady znajdują się natury odruchowe.

Rzecz dzieje się kiedy indziej, również w tym samym zakładzie. Hall jest przepełniony. Wyciągnięto zza stołu studenta-Żyda i zaczęto go turbować. Tu niewątpliwie działali czynni wodzirejowie gwałtowniejszego usposobienia. Ale oto gdzieś w odległym kącie jakieś poruszenie: ktoś przebija się przez tłum, unosi rękę, a w ręce nóż fiński. A więc jakiś odruchowiec, niewolnik tego co widzi, śpieszy rozprawić się ostrzej z kolegą-Żydem, będącym w opałach. Spozstrzega stojącego na schodach przedstawiciela władz szkolnych i paru profesorów, odzyskuje zimną krew i rozwagę — nóż znika, a z nim przebijanie się ku miejscu doraźnej rozprawy. I znowu nic bliższego nie wiem o tym odruchowcu, nie znam jego nazwiska, nie widziałem twarzy. Pojmuję, iż w ówczesnym splocie warunków mógł zostać mordercą, lecz przypadkowym zbiegiem okoliczności wyszedł cało z pokusy. Może w życiu dalszym popełni niejedno głupstwo pod wpływem emocji odruchowych, ale może i niejeden czyn szlachetny. W gromadzie manifestującej, wśród zastępu ruchliwszego i bardziej rozgorączkowanego, młodzieńcy tego kalibru odgrywają rolę żywszą i, w miarę gorączki obejmującej tłum coraz bardziej wyodrębniają się swoim podnieceniem i zabarwiają manifestację gwałtowniejszymi nastrojami, a niekiedy pociągają ją całkowicie swoim przykładem.

W ogóle czyny wszelkiej gromady, a więc i akademickiej kształtują się



nie tyle według wyznawanych przekonań, ile zgodnie z jej składem emocjonalnym. Są tam inicjatorzy, a wśród nich tacy, którzy lubują się w gwałtach i ręcznych, a raczej orężnych krwawych rozprawach. Są odruchowcy, którzy odpowiednio do pobudki zachowują się rozmaicie, ale ulegają rychło sugestii i często idą wbrew początkowym swoim zamierzeniom. Lecz rdzeń gromady tworzą przedstawiciele stosunkowo biernego tłumu — chór głośno lub milcząco podtrzymujący hasła wydane przez inicjatorów, lecz w początkach nie zbyt kwapiący się do ręcznej rozprawy.

Rysem zasadniczym gromady obecnej w porównaniu z zachowaniem się pokolenia sprzed lat pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu jest chowanie imienia swojego pod przyłbicą bezmienności, osoby zaś pod zasłoną dymną.

Gdy biorę Schodkę Apuchtinowską, zaraz na początku zwrócono się do obecnych z oświadczeniem, iż jeżeli nie są przygotowani na wszelkie konsekwencje, wynikające z uczestnictwa, niechaj wyjdą. Nikt nie będzie miał do nich żalu. Nie posługiwano się żadną bojówką, ażeby zatrzymać niezdecydowanych. Kilku wyszło, pozostali wytrwali do końca, tj. aż do chwili, kiedy władze uniwersytetu w towarzystwie policji odbierały legitymacje, akademik zaś udawał się za wrota uniwersyteckie wśród szpalerów wojska. Byli imiennymi przestępcami odwołującymi się do protestu z całą świadomością, że tak być musi i tak będzie. W ciągu tygodnia zgłaszali się jeszcze koledzy, którzy nie byli na Schodce, gdyż o niej nie wiedzieli — rzecz doszła do skutku najniespodziewanej w świecie z inicjatywy gromad zbierających się przed gmachem wykładowym, wśród rozmów i podniecenia na wieść o postępku Żukowicza, który spoliczkował był Apuchtina. Ktoś rzucił hasło: zaprotestujemy przeciwko Apuchtinowi! I tłum ruszył ku sali, w której miała się odbyć manifestacja. A wśród tych nieobecnych, lecz zgłaszających się, ażeby zaznaczyć swoją solidarność z manifestantami, znajdował się Stanisław Krusiński w przededniu ostatecznych egzaminów na piątym kursie medycyny, człowiek żonaty, spodziewający się niebawem dziecka, i bez żadnych środków prócz tego, co zarobił własną pracą. Takich słuchaczy z ostatniego kursu, którzy za parę miesięcy mieli być już medykami, znalazło się pięciu, w tej liczbie przyszedł doktor Józef Zieliński, autor *Higieny Pracy*. Było paru takich, co ukończyli już byli wydział matematyczny, albo przyrodniczy, a teraz przykładali się do nauk lekarskich. Był i farmaceuta: ten, skończywszy odpowiednie kursy, przygotował się do matury, a zdawszy ją, znajdował się właśnie na drugim kursie medycyny. (Takich podeszłych w latach studentów, którzy zdawali maturę jako eksterni w starszym wieku, znalazło się paru). A większość spośród nich byli to ludzie bez jakichkolwiek funduszków, bez widoków na zasiłki ze strony rodziny. W strzępy rwali swoje marzenia o lepszej przyszłości. Czekali ich różne kary, od relegacji trzyletniej (tj. zupełnej), dwuletniej i rocznej, aż do admonicji, przypadającej w udziale nielicznej tylko garstce. Wyda-



leni, niekiedy w ciągu wielu lat, usiłowali dotrzeć do uniwersytetu i nie zdołali tego dopiąć z winy piętrzących się przeszkód. Niektórzy dopiero w lat dziesięć później ukończyli medycynę. Niektórzy nigdy nie powrócili do uniwersytetu, zadowolając się skromnym uposażeniem na podrzędnych stanowiskach zarobkowych. Najciężej dotknięci wyjechali za granicę i większość z nich w ciągu lat wielu zmagająca się tam z nędzą, niekiedy schodząc przedwcześnie ze świata. Zaledwie paru spośród nich wróciło do kraju. Większość po ukończeniu studiów pozostała we Francji lub rozpieczęła się po świecie. Jeden z nich znalazł się aż w Buffalo na stanowisku lekarza, inny jako doktor okrętowy wędrował po lądach i morzach. A w zasadzie wszystko to byli ludzie niepospolitej miary. Ponosili z godnością ciężkie konsekwencje swego czynu, przy czym spośród tych, z którymi rozmawiałem w latach późniejszych, żaden tego nie żałował.

A teraz zwróćmy się ku czasom ostatnim.

Biorę dalszy ciąg zamieszek, o których na początku wspominałem. W pewnej chwili przybyła policja. Uczestnicy zajęli aulę, urozmaicając sobie śpiewami chóralnymi chwile decyzji, a właściwie uczynienia zadość żądaniom władz policyjnych: wręczenia im legitymacji i rozejścia się. Ksiądz Trzeciak, który przedarł był się przez kordony policyjne i miał przemowę do zebranych, bawił tylko tyle, ile potrzeba było na wygłoszenie oracji mającej zahartować uczestników i dodać im otuchy. Kierownicy blokady zarządzili środki ostrożności: odebrali legitymacje od kolegów niezbyt pewnych, czy nie ulegną podszeptom policji i nie pośpieszą z doręczeniem swoich dowodów, i od wszystkich koleżanek, których było parę dziesiątek. Kiedy wreszcie około północy młodzież uległa, tych którzy oddali swoje legitymacje niezwłocznie puszczano na wolność, nie mających zaś jej przy sobie odsyłano do komisariatów. W liczbie takich osób znalazły się między innymi prawie wszystkie studentki, które musiały odbywać podróż bardzo okrężną i niezbyt przyjemną w porze nocnej poprzez komisariaty do domu, koledzy bowiem nie zwrócili im zabranych dokumentów! Nie jestem sędzią pobudek tego postępku, czy była to karygodna lekkomyślność, czy obojętność ze strony tych, w czyich rękach znalazły się na przechowaniu legitymacje, czy zwykły sadyzm męski, napawający się myślą o przejściach, które oczekiwały grono koleżanek. W każdym razie był to czyn mało rycerski, obcy starodawnej tradycji polskiej. Uczestników, nie mogących się wylegitymować, umieszczano na pierwszym piętrze w audytoriach. I tutaj rozpoczynają się rozpaczliwe czyny łasych na bezmiennność studentów. Dwóch wyskakuje z okien, a więc z wysokości blisko 4—5 metrów. Jeden, zdaje się student Politechniki, nadwyreżył sobie nogi. Drugi ponosi jakieś uszkodzenie cielesne, jakie — dzisiaj nie pamiętam. A tymczasem kara największa, która ich oczekiwała, to było bodaj wydalenie na jakiś rok z uczelni, z prawem wstąpienia do niej po tym terminie.

Albo blokada w Auditorium Maximum Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego.

Policja po dłuższym oblężeniu wtargnęła do sali dopiero po północy. Wśród wynotowanych uczestników znalazło się trzydziestu różnego pochodzenia cywilusów, przeważnie niższej kondycji, spełniających obowiązki bojówki, która miała za pomocą środków wcale nie łagodnych usuwać akademików występujących przeciwko blokadzie lub przeszkadzać tym, którym przyszła chętka wymknięcia się z protestującego audytorium, a nawet z innych dzielnic Uniwersytetu. Na nich ciążyła także obrona wejść przed osobami, które by usiłowały sforsować gmach, między innymi przed policją, pragnącą oczyścić audytorium. W imię tej obrony zabarykadowano drzwi i okna wieszakami i ławkami z szatni i innymi sprzętami. Policja była zmuszona wtargnąć przez okna pierwszego piętra, gdzie przeciw niej przygotowane były skrzynie z kamieniami i szczapy drzewa oraz gdzie straż trzymała zbrojna bojówka. Nie obchodzą nas na razie szczegóły oblegania twierdzy i szturm do niej, ani dalsze losy oblężonej załogi. Jedno zaznaczamy, że owa bojówka składała się z najemników, którym dawano wikt i wypłacano żołd dzienny wynoszący podobno po 12 złotych. Na widok policji przedostającej się do gmachu hasło: *S a u v e q u i p e u t* — ratuj się kto i jak może, stało się hasłem dla wielu. Niektórzy ukryli się u służby uniwersyteckiej i policja ich stamtąd wyciągała, paru wybiwszy szyby nad drzwiami schowało się w sali posiedzeń Wydziału Prawa, gdzie ich wykryto dopiero nazajutrz. A przecież uczestnikom bynajmniej nie groziły kary właściwe czasom apuchtinowskim. Relegacja z uniwersytetu mogła uderzyć w paru lub kilku prowodyrów, nagany lub inne krótkie i mało dotkliwe kary przypaść jednemu lub paru dziesiątkom. Przy okazji zaznaczyć winien jestem pogłoskę, która do mnie doszła co do owej za wszelką cenę pielęgnowanej bezimienności i uciezki przed odpowiedzialnością. Nie wiem, czy jest prawdziwa. Powtarzam com słyszał i to od osoby mało krytycznej, gotowej uwierzyć każdej wiadomości o niezbyt odważnym postępowaniu przeciwników. A mianowicie występowanie z odkrytą przyłbicą, a więc w sposób imienny, ogłoszono za t a k t y k ę ż y d o w s k ą, a przynajmniej przez Żydów podsuhaną, ażeby przerzedzać szeregi młodzieńczego zastępu antysemitycznego. Powątpiewam nieco o słuszności takiej potwarzy. Ale gdyby w rzeczy samej posługiwano się takim argumentem, byłaby to swego rodzaju nadbudowa ideologiczna nad postępkami odchyłającymi się mocno od taktyki dawnego rycerstwa polskiego — przecież dawniej takim dowcipnisiom w upominku doręczano kądziel i właśnie Żydów podejrzewano na onczas o hołdowanie takim zasadom.

Ale unikanie imienności jest dopiero jedną stroną medalu.  
Istnieje druga.

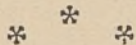


Tą drugą jest posługiwanie się najemnikami do wypełniania roli gwałtowniejszej i z konieczności bardziej kompromitującej i narażającej.

Mówiliśmy już o takiej najemnej załodze pacholków podczas blokady w uniwersytecie warszawskim. Nie jest to taktyka natury wyjątkowej. Przed paru laty podczas zamieszek omawianego rodzaju w innym z wyższych zakładów zauważono na gorącym uczynku studenta, którego nazwiska nie wymieniam — sądzę, że może zrozumiał małą wytworność swego postępków i zawrócił z takiej drogi. Wypłacał pięć złotych dziennie rosztemu mularczykowi i wskazywał, kogo ten ma tłuc spośród kolegów Żydów lub tego samego pochodzenia koleżanek. Oddany pod sąd dyscyplinarny, dawał słowo honoru, że oskarżono go fałszywie, jest bowiem niewinny całkowicie. Na jego nieszczęście tuż za nim stał prorektor i, zdaje się, jeden z profesorów, a mularczyk pono przyznał się do pobierania zapłaty. Wydalono go z zakładu, ale bodaj bez ograniczenia praw zapisu do innej uczelni. Zresztą użytkowanie płatnych bojowców nie ogranicza się jedynie do zakładów naukowych. Mam przed sobą ulotkę zatytułowaną „Szkoła Narodowo-Radykalna”, nr 3, z dnia 15 października 1937 roku. Chodzi o nieporozumienie pomiędzy dwoma pozornie bardzo bliskimi sobie odłamami ruchu narodo-radykalnego. Wywiad jednej grupy ustalił, że podczas napaści na przedstawiciela drugiej „sześciu rzezymieszków zostało wynajętych po cztery złote na głowę, a tylko dwóch pracowało ideowo”. Nie wiem, o ile te porachunki międzypartyjne są zgodne z rzeczywistością, ale okoliczność, iż zarzuty takie znalazły się w piśmie partyjnym, świadczy o istnieniu wśród redakcji poczucia jakoby to była rzecz możliwa. Posługiwanie się najemnikami sięga jeszcze dalej. Swego czasu gazety podawały, że ów zamachowiec, co czatował na pułkownika A. Koca w Świdrze i został rozszarpany od bomby, którą niósł, poszedł na ten czyn za pieniądze. Przyznaję się szczerze, że objawy takiego postępowania są dla mnie całkowicie niezrozumiałe. Znam bardzo dokładnie dzieje naszego ruchu konspiracyjnego od roku 1878 aż do wybuchu wojny. Były tam postęпки różnego kalibru, pełne poświęcenia to znów lekkomyślne, celowe i całkiem niedorzeczne, ale nie słyszałem ani razu, ażeby ktokolwiek uczestniczył w akcji wzamian za zapłatę pieniężną. Ani razu zaś nie zdarzyło się, żeby ktoś uczestniczył w jakiejś akcji nie w imię założeń ideowych, lecz za pobrane kubany, lub żeby komuś przyszło na myśl wyłgać się od niebezpieczeństwa i zamiast siebie na posterunku postawić najemnika. Nie daremnie czcimy pamięć tych, którzy na placu Grzybowski protestowali przeciwko poborowi do wojska, i nie na próżno wspominamy czyny Montwiłłów, Okrzejów i Baronów — nie tylko za ich ideowość i odwagę, ale i za to, że zawsze odwoływali się do środków i postępków, które budziły ku nim poważanie. Nigdy nie przysięgałem na Polskę, tj. nie deklinowałem Jej w różnych przypadkach i stopniach, żeby pokryć tą gorliwością w naduży-

waniu Jej nazwy brak rzeczowych argumentów lub pokryć frazeologią niechęć ku dokonaniu wymaganego postępku, i pomimo radykalizmu z prawdziwym poważaniem spoglądam na wiele zwyczajów dalekiej przeszłości, na cały ów niepisany, lecz głęboko wtedy wyryty w sercu i umyśle kodeks rycerski, tak odmienny od zachowania się ciurów obozowych. I właśnie w imię tej przeszłości chciałbym odwołać się do tych głębszych pokładów umysłowości i uczuciowości młodzieży dzisiejszej nie zamąconych sofistyką, ani jeszcze nie przeżartych zabójczym tchnieniem kapitalizmu, kiedy za pieniądze kupuje się wdzięki kobiet, sprzedaje się własny honor, frymarczy się przekonaniem, a dzisiaj w walce przekonań najmuje się zbirów. Odwołując się do młodzieży bynajmniej nie pragnę z nią dyskutować o jej przekonaniach. Pielęgnowuję poglądy, jak jużem oświadczył, mocno odmiennie od jej poglądów — ale poglądy co pokolenia mogą się zmieniać, stosowane zaś sposoby walki tradycja przekazuje i nimi może znieprawiać jaźń duchową narodu. Chodzi mi o przyszłość Narodu, o wzięcie rozbratu z tchórzostwem ideowym, o odżegnanie się od praktyk kupczących i zachwaszczania nimi czystszych pierwiastków ducha. Zwracam się do młodzieży tak odmiennych od mojego stanowiska poglądów, bo wierzę przecież, że jej rdzeń tworzą młodzieńcy dobrej wiary, jedynie ułomni płytką analizą pierwiastków życia społecznego. Wołam do nich: Stańcie na straży zasad rycerskości, podejmowania walki ideowej nie za pośrednictwem najemników, nie ukrywania się w okazjach, kiedy winniście śmiało odstąpić przyłbicę swoją, swoje imię. A przede wszystkim rozróżniajcie pomiędzy ludźmi ludzi idei — powiedziałbym: waszej idei, gdyby nie to, iż moje twierdzenie dotyczy w s z e l k i e j idei. W każdym zastępie obrońców pewnych przekonań są różni ludzie, niektórzy tak obarczeni kalectwem uczuciowym, iż idea służy im tylko za osłonę, może dla nich bezwiedną, ciemnych popędów ich jaźni. Nieraz tkwią w nich wrodzone popędy, które miał na myśli Lombroso gdy tworzył pojęcie urodzonego okrutnika, urodzonego zabójcy itd. — żaden ruch ideowy nie jest od nich wolny, ale uczestnicy każdego takiego ruchu powinni pamiętać, iż takie typy mogą zawsze wcisnąć się pomiędzy nich i czynami swoimi shańbić wszelką ideę. Mniemam, iż lwowscy „bohaterzy” co zakłuli dwóch kolegów, należą do tego typu...

Na zakończenie przykład błahy, drobnutki, ale za to bliski, bo warszawski. Studentka spóźniła się na wykład w uniwersytecie i siadła na ławce „plugawej”, nieświadoma tego. Podchodzi do niej jeden z kolegów i powiada: Koleżanka ma ładny nosek, siadając tutaj widocznie chce, ażebym go pięścią swoją spłaszczył. Nie! To nie był człowiek idei, lecz sadysta nakładający na swoje zamiary etykietę ideowości. A może, może tylko taki prosty, pospolity sobie cham...





Com podał, podałem na podstawie własnego doświadczenia i własnych spostrzeżeń. Jużem zaznaczył, iż gdzie indziej wypadki toczyły się trybem gwałtowniejszym i nieraz mocno krwawym. Opowieść o nich pozostawiam widzom bezpośrednim. Jednak mniemam, iż rdzeń gromady składa się wszędzie z pokrewnych typów, acz prawdopodobnie w różnym stosunku odsetkowym. Rdzeń tworzą młodzieńcy względnie bierni. Jednak ta bierność jest rzeczą względną. Przecież jest to młodzież, i właśnie dlatego raczej skłonniejsza do odruchów niż do ulegania myśli krytycznej. Ta lub inna okoliczność może wyprowadzić ją z równowagi i owe typy nadające się do studiów Lombrosa lub odruchowcy poddający się sugestii i nie panujący nad swoimi postępkami, mogą swoim przykładem, swoim uniesieniem, swoimi przemówieniami rozżarzyć ogół uczestników i bierną gromadę pchnąć do wybryków o charakterze ostrym. A w gromadzie podnieconej zacierają się odrębności indywidualne, wszyscy zlewają się w całość jednolitą, nie rozważając swoich posunięć, lecz wyładowującą w sposób żywiołowy swoją energię. W tych warunkach nawet bierny, łagodny uczestnik może przekształcić się w swoją przeciwstawność, gotów iść o lepsze z wodzirejami typu lombrosowskiego lub z odruchowcami, którzy miotają się jak opętani. Już o tym wiedział Rzym starodawny. Wiedzę swoją zawarł w krótkim powiedzeniu: *senatores boni viri, senatus mala bestia*.

R. Danysz-Fleszarowa

## POLONICA W CAMBRIDGE

Tegoroczny wyjazd mój za granicę dał mi możliwość spędzenia kilku dni w Cambridge. Co prawda dni te były prawie w całości zajęte posiedzeniami kongresu organizacji Open Door International, jednakże udało mi się schwytać kilka wolnych godzin i użyłam je dla zobaczenia paru placówek, które mnie specjalnie interesowały. Jako geografa i bibliotekarza interesował mnie specjalnie dział kartograficzny biblioteki uniwersyteckiej oraz zakład geograficzny, wreszcie muzeum geologiczne, a jako Polkę interesował mnie stan materiałów odnoszących się do Polski.

O tym właśnie pragnę tu powiedzieć.

Biblioteka uniwersytecka, umieszczona w nowiułkim, wspaniałym, nowoczesnym gmachu, jest jedną z 6 największych bibliotek Wielkiej Brytanii: dział kartograficzny posiada około 200.000 map. Wstęp dla niestudentów jest dosyć utrudniony, gdyż do gmachu można wejść tylko w towarzystwie dyplomowanego wychowanka uniwersytetu, i po gmachu wolno chodzić tylko w jego towarzystwie, ale za to można chodzić absolutnie wszędzie, zarówno do wszystkich sal jak i magazynów. Dział kartograficzny posiada olbrzymią salę, zastawioną odpowiednimi meblami. Bibliotekarz przyjął

mnie bardzo uprzejmie i cierpliwie pokazywał wszystkie urządzenia. Na pytanie o posiadane przez bibliotekę materiały kartograficzne, odnoszące się do Polski, pokazał mi zarówno katalog jak i same mapy. Otóż kartografia Polski do połowy XIX wieku jest reprezentowana wcale bogato, kończy się mniej więcej na sześćdziesiątym którymś roku, o potem jest zupełna pustka. Dopiero pod rokiem 1915 figurują 2 mapy, wykonane na zlecenie Angielskiego Sztabu Wojennego w skali 1:100.00, ark. Warszawa i Kraków; Polska Niepodległa jest reprezentowana jedynie przez Mapę Rzeczypospolitej A. Tomaszewskiego, która u nas miała dość krótki żywot. Przyznam się, że byłam zupełnie zaskoczona brakiem nawet naszych państwowych wydawnictw, które, zdaje się, są w dość znacznych ilościach rozsyłane.

Drugą instytucją, którą zwiedziłam, był zakład geografii — Cambridge Geographical Department — Geographical School. Tutaj Polska współczesna jest już lepiej reprezentowana, gdyż instytucja ta posiada 3 atlasy Romera: Mały Atlas, Polska Współczesna i Atlas Statyst. wyd. II, poza tym trochę map starszych. Jeżeli idzie o inne druki, odnoszące się do Polski, na półce przeznaczonej na wydawnictwa o Polsce, znalazłam kilka podręczników, odnoszących się bądź to do Europy wschodniej, bądź też do Europy środkowej. Tylko Polski tyczyły dwa wydawnictwa: Górecki — Economic Development of Poland oraz Birmingham Information on Slavonic Countries. To ostatnie wydawnictwo zawierało wówczas 4 zeszyty, 1-2 — Human and Economic Characteristics of Poland in their geographical Setting, 3 — Polands New Codes of Law, 4 — The National Income of Poland 1937. Oto wszystkie źródła, z których słuchacz geografii może czerpać swoje wiadomości o Polsce.

Wreszcie trzecią placówką naukową, gdzie spotkałam Polskę, było muzeum geologiczne im. wielkiego geologa Sedgwicka. W bardzo pięknej kolekcji skał drogowych znalazłam kilka okazów pochodzących ze Świętokrzyskiego. Dostarczone w połowie XIX w. miały na etykietce napis następujący: Russian Sandstone-Trias, Gouv. Radom, Poland. Sprawdziłam, że katalog tych zbiorów był opracowany w 1911 r., a więc odpowiadał ówczesnemu stanowi rzeczy, a Polska w nim była potraktowana, jak np. Szkocja w ramach W. Brytanii. Profesor zakładu był nieobecny, więc omówiłam sprawę wprowadzenia poprawki do etykiety i katalogu z laborantem, który bardzo poważnie przejął się tą sprawą.

Przyznam się, że z dość ciężkim sercem opuszczałam Cambridge. Jeżeli w tak wybitnym środowisku naukowym, gdzie kształci się tyłu Anglików i dokąd zjeżdża tyłu cudzoziemców, nie można nic prawie dowiedzieć się o Polsce, a na pewno niczego się nauczyć na podstawie materiałów, to co się musi dziać w innych mniejszych ośrodkach. Może się zdarzyć, że w katalogach bibliotecznych nie ma nawet nazwy „Polska”.

A wydaje mi się, że nie było by tak trudno zaradzić złu. Urzędnicy na-



szej służby zagranicznej mogliby z łatwością, nawet przy okazji takiego czy innego wyjazdu, zaglądać do wielkich bibliotek czy to uniwersyteckich czy publicznych, a choćby tylko nawet ograniczyć się do największych bibliotek danego kraju—i przejrzeć katalog polonica'ów. Dla zorientowania się ogólnego w tych sprawach nie trzeba wcale być specjalistą. Wiadomości o stanie rzeczy powinny by być przesyłane do kraju i centralizowane w ośrodku, który zechce zająć się czynnie nasuwającymi się wnioskami. Zadośćuczynienie potrzebom Polski w zagranicznych bibliotekach nie powinno przedstawiać wielkich trudności: w wielu wypadkach wystarczy prawdopodobnie dostarczenie tylko odpowiedniego katalogu w języku zrozumiałym dla zainteresowanych. Tyczy się to specjalnie wydawnictw kartograficznych, zrozumiałych z racji swojej techniki dla wszystkich. W innych wypadkach można doprowadzić do nawiązania stosunków wymiennych, wszystkie nasze instytucje naukowe zaopatrują wszak swoje wydawnictwa co najmniej w streszczenia w językach obcych. Tego rodzaju praca może oddać Polsce bardzo poważne korzyści: 1) wpłynie niewątpliwie na zwiększenie kręgu ludzi, którzy się zapoznają z naszym dorobkiem naukowym, 2) wprowadzi imię Polski do wielkiej ilości katalogów, jednej z najbardziej konserwatywnych a dzięki temu trwałych instytucji kulturalnych. Przeprowadzenie tej akcji wymaga nie nakładów pieniężnych, ale przede wszystkim dobrej i wytrwale pracującej organizacji. Wreszcie na zakończenie parę słów o studium słowiańskim przy uniwersytecie w Birmingham (informacje otrzymane od naszej oficjalnej placówki w Londynie). Studium powstało wkrótce po zakończeniu wojny. Kierownikiem jego jest Rosjanin — nazwiska nie pamiętam. Parę lat temu, przy wybitnym współudziale tego profesora utworzyło się towarzystwo, które złożyło sumę potrzebną i otworzono studium polskie. Placówkę tę prowadzi pani dr Helena Reybekiel; podobno fundusze są już na wyczerpaniu i dalsze losy tej tak pożytecznej placówki są zupełnie niepewne.

Artykuł prof. A. B. Dobrowolskiego p. t. „Wstępne rozważania o szkołach wyższych, w szczególności akademickich”, drukowany w nr 1 i 2 naszego pisma, miał być kontynuowany w dalszych jego numerach. Niestety, rozrastające się rozmiary tego artykułu w połączeniu z chwilowym skurczeniem się naszego pisma na skutek trudności materialnych, skłoniły prof. A. B. Dobrowolskiego do wycofania dalszego ciągu, który ukaże się już gdzie indziej.

WOLNOŚĆ BADANIA I WYPOWIADANIA SIĘ (Freedom of inquiry and expression). Edited by Edward P. Cheyney — The Annals of The American Academy of Political and Social Science, vol. 200, Philadelphia, November 1938.

Amerykańska Akademia Nauk Politycznych i Społecznych od dawna zwykła poświęcać wydawane co dwa miesiące tomy swych „Roczników” starannie przygotowanej, naukowej dyskusji różnych aktualnych zagadnień życia społecznego. Nic więc dziwnego, że sam już fakt pojawienia się tomu pod powyższym tytułem budzić może zrozumiałe w dzisiejszych czasach zainteresowanie, a nawet — pewien niepokój. Czyżby i w Ameryce sprawa wolności myśli stała się problemem na czasie, bardziej palącym niż w latach poprzednich? Przypominamy sobie sugestywny obraz przysłego przewrotu faszystowskiego w Stanach Zjednoczonych, jaki nakreślił kilka lat temu znakomity znawca amerykańskiej rzeczywistości, autor „Babitta” i „Arrow-smitha”. Wprawdzie przepowiednie Sinclaira Lewisa nie sprawdziły się, jednakże łatwość — jak twierdzą niektórzy, tylko pozorna — z jaką w jego powieści pewne amerykańskie instytucje i prądy przybierają koszmarny charakter europejskiego fašyzmu, wciąż zachowuje swą niepokojącą wymowę.

Powieść swą Lewis pisał w okresie, gdy rozstrój społeczny, zmierzch czczonych dawniej bogów i poczucie niepewności jutra — rezultaty gospodarczego kryzysu — usiłowali skapitalizować różni hałaśliwi prorocy, w rodzaju Huey Longa, dyktatora z Luizjany, księdza Coughlina i in. Była ona ostrzeżeniem dla tych wszystkich, którzy usypiają swoją i cudzą czujność uporczywym powtarzaniem: „Tutaj do tego nie dojdzie” — „It can't happen here” — taki jest właśnie tytuł tej półpowieści, półpamfletu politycznego. Ukazał się on jesienią 1935 roku. Być może pod jego wpływem, a w każdym razie pod wpływem tego samego niepokoju, powstała inicjatywa zbadania sytuacji na odcinku wolności badań i wypowiedania się. Inicjatywa ta, której rezultatem jest omawiany tutaj tom „Roczników”, rzucona została przez Social Science Research Council pod koniec tegoż roku 1935 i uzyskała poparcie American Council of Education, American Association of University Professors i American Association for Advancement of Science (warto może zaznaczyć, że to ostatnie stowarzyszenie już w roku 1933 ogłosiło deklarację w obronie wolności nauki).

Zadaniem studium jest zebranie faktów i opinii dotyczących wolności myśli, mowy, dyskusji, badania, nauczania i publikowania, oraz rozpatrzenie różnych ograniczeń, z jakimi się ta wolność spotyka. Ma ono być przede wszystkim zbadaniem istniejących stosunków, lecz jednocześnie argumentem na korzyść demokracji. Ten związek między demokracją a wolnością wypowiedania się, znaczenie wolności badania, krytyki i wyboru dla ewolucji społecznej podkreślają wszyscy autorzy artykułów opublikowanych w „Roczniku”. Książkę zamyka nawet aneks p. t. „Pochwała ideału wolności”, gdzie Sokrates spotyka się z Coolidgem, Milton z rektorem Uniwersytetu Chicagoskiego Hutchinsem, Locke z sędziami Najwyższego Trybunału



St. Zjedn. Najlepiej chyba jednak i najaktualniej oświeciła to zagadnienie H. K. Beale, autor artykułu o wolności dla nauczycielstwa :

„W czasie, gdy świat rozdierają walki pomiędzy dyktaturą a demokracją, mogące zmienić kierunek rozwoju cywilizacji, myślący obywatele kraju, w którym demokracja nadal funkcjonuje, powinni dokonać przeglądu swych demokratycznych instytucji. Należy zabezpieczyć demokrację przed tendencjami, które gdzie indziej zaprowadziły narody tak daleko, że cofnąć się jest już rzeczą niemożliwą. Instytucje demokratyczne jednak na mocy swej definicji nie mogą być osłaniane przez gnębienie wrogich im sił. Zaprawdę, jeśli demokracja ocaleje, to tylko dzięki utrzymaniu wolności krytykowania, analizowania i reformowania naszych instytucji tak, by ludzie odzyskali dawną wiarę w demokrację. Jeśli demokracja ma być utrzymana w Ameryce, to nie dokona się tego przez gnębienie elementów „radykalnych” i „faszystowskich”, lecz przez korzystanie z wolności krytyki w celu zremontowania i naprawienia naszej demokracji w taki sposób, żeby naród amerykański nie miał wątpliwości, iż działa ona uczciwie, skutecznie i inteligentnie.

Największą chyba siłą demokracji, jest to, że pozwala ona na dokonywanie zmian drogą pokojową poprzez swobodną dyskusję i krytykę, których dyktatura nie dopuszcza. Demokracja nie może funkcjonować, o ile szkoły jej nie mogą kształcić obywateli, zdolnych do inteligentnego wykorzystywania wolności. Propaganda na korzyść innych systemów nie może zaszkodzić pod warunkiem, że swoboda krytyki zostanie zachowana i że szkoły wychowywać będą obywateli zdolnych do rozpoznania prawdy i dokonania swobodnego i inteligentnego wyboru.

„Należy sobie jasno uświadomić, że szkoły amerykańskie nadal należą do najbardziej wolnych na świecie. Przyjaciele demokracji niepokoją się nie dla tego, że szkoły amerykańskie przestały być wolne. Tak bowiem nie jest. Jednakże istnieją już pewne siły dążące do owładnięcia naszymi szkołami, a dziwnie przypominające czynniki, które sprawują kontrolę nad wychowaniem w krajach dyktatorskich i napół dyktatorskich w Europie. Zwolennicy demokracji w Ameryce obawiają się, aby siły te, jeśli im się pozwoli opanować szkolnictwo, nie zniszczyły w ostatecznym rezultacie wolności, a tym samym nie utworowały drogi dla późniejszego unicestwienia samej demokracji. Szkolnictwo wymaga ochrony nie przed „niebezpiecznymi” poglądami, lecz przed niszczeniem wolności dyskusyjnej w szkołach wszelkich poglądów, bo bez takiej dyskusji obywatele kraju demokratycznego nie mogą być wychowani.

„Wolność oznacza nie prawo do wypowiedzania poglądów, z którymi się ludzie zgadzają lub które im są obojętne, lecz poglądów, które wydają się innym niebezpieczne, nierozsądne lub nawet błędne. Wolność opiera się na wierze Jeffersona, że błędy nie są niebezpieczne, dopóki rozum może je swobodnie zwalczać”.

Ażeby uniknąć ewentualnych nieporozumień, pragnę zaznaczyć, że to, co Beale mówi o wolności szkolnictwa amerykańskiego, inni autorzy również z naciskiem podkreślają w stosunku do omawianych przez nich działań. Dwie tradycje przewijały się zawsze — mówi prof. Cheyney — przez dzieje narodu amerykańskiego: jedna to tradycja wolności, dzięki której „Amerykanie zawsze, wyjąwszy okresy wojenne,

mieli swobodę wypowiedzania się na każdy temat, w każdym czasie", i druga, słabsza lecz nie mniej trwała — tradycja ograniczania tej wolności. Siłą rzeczy a zamachach na wolność dowiadujemy się tutaj najwięcej, książka bowiem mająca pobudzać do czujności („wiczysta czujność jest ceną wolności w każdej postaci" pisze Cheyney) o tych ograniczeniach przede wszystkim mówić musimy. Widzimy więc w niej wolność amerykańską jakby w krzywym zwierciadle, lecz nie powinniśmy zapominać o jej prawdziwym obliczu.

Studium obejmuje całość życia intelektualnego Stanów Zjednoczonych w szeregu rozpraw opracowanych przeważnie przez socjologów i historyków. Obok artykułu poświęconego wolności prasy, mamy dwie rozprawy o wolności literatury i sztuki w ogóle. Wolność nauczania zajmuje dużo miejsca: są więc artykuły o wolności nauczyciela w szkolnictwie niższym i średnim, o wolności akademickiej. Oddzielnie potraktowana została sprawa wolności badań i nauczania na jednym z najbardziej zagrożonych odcinków wolności akademickiej — w dziedzinie nauk społecznych — oraz w medycynie. Charakterystyczny dla amerykańskiej kultury jest artykuł o wolności badań i wypowiedzania się przysługującej duchownym rozmaitych wyznań. Nie mniej amerykańskie piętno posiadają dwie inne rozprawy. Jedna z nich omawia szkody dla nauki i techniki, wynikające z praktyki wielkich przedsiębiorstw przemysłowych wykupywania wynalazków i chowania „pod sukno", jeśli realizacja ich jest w danej chwili niedogodna dla interesów przedsiębiorstwa. Druga rozprawa niemal całkowicie poświęcona jest zagadnieniu wolności zrzeszania się zawodowego robotników, tylko bowiem przez organizację — twierdzi autor — może dzisiejszy najmita, zwłaszcza bezrobotny, korzystać z wolności badań i wypowiedzania się w całym szeregu zagadnień, związanych jaknajściślej z poprawą jego pozycji społecznej. Wprawdzie instytucje, pod których auspicjami przygotowany został ten tom „Roczników" zastrzegają się, że nie biorą odpowiedzialności za wywody autorów, jednakże samo pomieszczenie tych dwóch artykułów o tak wyraźnym ostrzu potwierdza opinię, że intelektualiści amerykańscy może mniej niż gdzie indziej są zwolennikami panującego systemu ekonomicznego. Pointą polityczną całego studium jest pomieszczenie w nim trzech artykułów o wolności nauki i uniwersytetów w krajach dyktatorskich — Niemczech, Włoszech i Rosji Sowieckiej.

Każdy z wymienionych poprzednio artykułów o Stanach Zjednoczonych omawia różne czynniki, które by chciały nie dopuścić do wykrywania pewnych faktów, do wypowiedzania pewnych opinii, do swobodnej dyskusji nad szeregiem istotnych dla życia i nauki zagadnień. Jednym z tych czynników są grupy czerpiące swe natchnienia ze źródeł religijno-moralnych. Ma z nimi do czynienia i lekarz, gdy chodzi o środki antykoncepcyjne, ma także i prowincjonalny nauczyciel przyrody, gdy porusza teorię ewolucji, ma też i socjolog, gdy bada lub naucza o zagadnieniach seksualnych, małżeństwie, o względności norm moralnych, ma wreszcie do czynienia z nimi i duchowny, którego poglądy na moralność społeczną różnią się od kanonów obowiązujących w jego kościele. Fundamentalizm, najbardziej ciasny i bigoteryjny ze wszystkich prądów religijno-moralnych, przechodzi już jednak do przeszłości



i z wyjątkiem zapadłych kątów prowincjonalnych i małych college'ów wyznaniowych, nauka nie potrzebuje się liczyć z poglądami kosmogonicznymi lub moralnymi, opartymi na Biblii.

Zamiast fundamentalizmu wysunęła się jednak w ciągu ostatnich pokoleń inna groźna siła — potężne interesy kapitalistyczne. Przez prasę, przez osobisty wpływ „przodujących obywateli” na zwierzchników nauczycieli, przez swych przedstawicieli w radach szkolnych, przez izby handlowe i wieloma innymi drogami business stara się wywierać nacisk na szkołę. Na terenie szkół wyższych cenzurę nad badaniem i nauczaniem od czasu do czasu w poszczególnych uczelniach usiłuje narzucić rada nadzorcza (trustees), złożona przeważnie z członków plutokracji, czasem prezydent (rektor) instytucji, wrażliwy na wszystkie zarzuty, które by mogły ją pozbawić ewentualnych darów i zapisów, czasem byli jej wychowankowie, zwłaszcza ci, którzy lepiej się umocili w społeczeństwie. Dodajmy do tego działalność różnych stowarzyszeń patriotycznych, jak Legion Amerykański lub Córki Amerykańskiej Rewolucji (rozumie się tej z 1776 roku), czyhających na wszystko co w ich opinii jest „nieamerykańskie”, dodajmy różne stałe i periodycznie wybuchające fobie skierowane przeciwko przedstawicielom niektórych narodowości, ideologii czy wyznań (Murzynom, Żydom, Niemcom, katolikom, „czerwonym”, pacyfistom, faszystom etc.) — a będziemy mieli mniej więcej przegląd sił, podtrzymujących tradycje nietolerancyjności i ograniczania wolności.

Można by w omawianych artykułach znaleźć wiele przykładów, jak siły te działają w konkretnych warunkach amerykańskiego społeczeństwa. Niestety jednak, co by nas najbardziej w tej chwili interesowało — a czego brak jest w książce — to rzucenie sprawy wolności na szersze tło prądów nurtujących to społeczeństwo w dzisiejszych czasach. Bowiem obie tradycje, wolnościowa i antywolnościowa, istniały — jak wspominałem — zawsze w przeszłości Stanów Zjednoczonych, jak dotąd jednak bez widocznej większej szkody dla sprawy wolności. Prawdziwe niebezpieczeństwo zagrażałoby jej — jak się zdaje — dopiero wtedy, gdyby różne genetycznie i w różnych kierunkach działające siły antywolnościowe uzyskały wspólną dynamikę, wspólny a przeciwstawny wolności ideał. Lecz studium nie daje odpowiedzi, czy i o ile niebezpieczeństwo takie zagraża w najbliższej przyszłości.

W każdym razie czytając tę książkę widzimy to, czego wyraźne wskazanie nie leżało właściwie w intencji autorów, a mianowicie, że ilekroć wolność w Ameryce jest zagrożona, znajduje zawsze swych obrońców walczących o nią nie dla jakichś doraźnych korzyści, lecz w przekonaniu, że stanowi ona jedną z najwyższych wartości ich kultury. Wszyscy oni mogliby się prawdopodobnie podpisać pod słowami bohatera powieści Lewisa: „przekonany jestem, że wszystko, co posiada jakąkolwiek wartość na świecie, osiągnięte zostało dzięki pracy wolnego, badawczego, krytycznego ducha i że zachowanie tego ducha ważniejsze jest, niż jakikolwiek system społeczny”. Tym trwałym wysiłkom zawdzięczać należy, że dziś nie „małpi proces” jest wykładnikiem dorobku amerykańskiego (nie był nim zresztą i przed czterem laty), lecz wspinałe przybytki wolności nauki, jakimi są wielkie uniwersytety amerykań-

skie z Harvardem, Chicago i Kalifornią na czele. I nie fundamentaliści ani małowielkociekowi grocownicy tworzą dziś normy wolności akademickiej i szukania prawdy, lecz coraz bardziej Stowarzyszenie Profesorów Uniwersyteckich i przykład wielkich bezinteresownych fundacji badawczych.

Sama zresztą książka jest pięknym przejawem, że w myśl pragnień Tomasza Jeffersona Amerykanie „nie boją się iść za prawdą dokądkolwiek ona prowadzi i tolerować błędów, dopóki rozum jest wolny i może je zwalczać”.

Tadeusz Żebrowski

Zygmunt Mocarski: O POTRZEBIE WYŻSZEGO SZKOLNICTWA NA POMORZU. Toruń, 1938, str. 73.

Pomorze przechodziło odmienne koleje dziejowe niż pozostałe ziemie polskie. Odwieczne krzyżowanie się wpływów germańskich i polskich wpłynęło zasadniczo na specyficzność historii dzielnicy pomorskiej. Badanie tych spraw pozostawione jest sporadycznej i z konieczności mało intensywnej inicjatywie ośrodków z innych części kraju. Podobnie również przedstawiają się studia nad geografją, botaniką, zoologją, etnografią pomorską. Cały tak szeroko pojęty regionalizm może być badany naukowo jedynie przez specjalny miejscowy ośrodek. Rolę taką spełnić winien przyszły uniwersytet pomorski. Mógłby on zająć się również badaniem sąsiednich Kujaw, dzielnicy, która obecnie nie stanowi obiektu bezpośrednich zainteresowań żadnego ośrodka uniwersyteckiego. Długie już toczyły się dyskusje co do miejsca przyszłej wszechnicy pomorskiej. Tu wskazuje się na Toruń, jako na to z miast pomorskich, które najlepiej jest przygotowane do podjęcia odpowiedzialnego i zaszczytnego zadania zorganizowania uniwersytetu i dopomożenia mu w pracy. Przyczyniają się do tego zarówno liczne zbiory muzealne i biblioteczne, jak też stosunkowo duża intensywność życia naukowego stolicy Pomorza. Działo tu bowiem od roku 1853 Copernicus Verein für Wissenschaft und Kunst, które licznymi badaniami początkowo nad Kopernikiem, a potem głównie nad dziejami miasta wpłynęło na ruch umysłowy Torunia. Podobną również rolę odegrało założone w roku 1875 Towarzystwo Naukowe w Toruniu. Od roku zaś 1926 rozwija swą działalność Instytut Bałtycki. Archiwum i księżnica miejska, licząca przeszło 130.000 tomów, mogą stanowić skuteczną pomoc dla przyszłego uniwersytetu.

Lecz wszechnica pomorska spełniałaby przecież nie tylko zadania czysto naukowe, badawcze, lecz również ogólnooświatowe. Dopomogłaby skutecznie do podniesienia stanu oświaty tej dzielnicy. Na ogólną sumę 48.071 słuchaczy wyższych szkół akademickich w Polsce w roku 1934-35 załedwie 966 pochodziło z Pomorza. Mniejszą liczbę studentów niż Pomorze mają tylko województwa nowogródzkie i poleskie. Państwo nowożytnie wymaga ponoć na trzy miliony mieszkańców conajmniej jednego uniwersytetu. Istniejące przeto uniwersytety polskie, których jest załedwie sześć — miast jedenastu — „cierpią na ogólnie znane i często podnoszone „przeludnienie”. Wszechnica pomorska odciążylaby istniejące uniwersytety; poza tym wzrosłaby zapewne liczba akademików pomorzan. Nie pozostałoby to naturalnie bez wpływu na



całokształt stanu oświaty tej dzielnicy. I nie tylko sprawa uniwersytetu jest aktualną. Po odłączeniu Gdańska z jego wyższą szkołą techniczną, północne części Polski pozabawione zostały wyższego zakładu technicznego. A dwie istniejące w Polsce politechniki również posiadają stosunkowo wysoką liczbę studentów. Rozpowszechnione u nas opinie o zbyt wielkiej ilości wyższych uczelni nie wydają się uzasadnionymi. Rażąca jest dysproporcja, z jaką rozmieszczone są wyższe szkoły w Polsce. Z ogólnej liczby 24 wyższych zakładów naukowych, w Warszawie i województwach centralnych znajduje się 12, w województwach południowych 8, w Poznaniu 2, natomiast na Pomorzu i na Śląsku brak ich zupełnie.

Odzyskanie dostępu do morza sprawiło, że Dania, Norwegia, Szwecja, Finlandia, Estonia są polskimi sąsiadami. Weszliśmy w poczet państw bałtyckich i chcemy odgrywać w nim nie ostatnią rolę. Łączy się to nie tylko z badaniami fizjograficznymi, bałtycko-morskimi, ale również z aktualnymi sprawami naszej ekspansji gospodarczej w kierunku północnym, oraz z nawiązaniem stosunków wzajemnej wymiany kulturalnej z państwami skandynawskimi. Brak u nas systematycznych badań nad całością kultury północy. Lwów specjalizuje się w orientalistyce, Kraków w słowianoznawstwie, Wilno w badaniach spraw wschodnio-europejskich, Poznań — zachodnio-słowiańskich. Narzuca się, iż brak jest ośrodka badań północy w północnym uniwersytecie pomorskim. Brak jest mostu przez Bałtyk z Polski do krajów skandynawskich. A przykładem ośrodka naukowego, spełniającego podobną rolę, może być uniwersytet w Gryfii. Jego specyficznością jest założony przy nim w roku 1918 Instytut Nordyczny, zajmujący się badaniem Szwecji, Danii, Norwegii i Islandii, oraz osobny Instytut Finoznawstwa. Warto również pamiętać o pomocy szwedzkiej dla uniwersytetu w Rostocie przy organizowaniu na tym uniwersytecie studiów nad kulturą skandynawską. Przyszły uniwersytet toruński — zdaniem autora — winien skoncentrować badania spraw północnych, winien przyczynić się do ożywienia stosunków między Polską a Skandynawią.

Lecz od pełniejszego wyzyskania dostępu do morza potrzebne są systematyczne i na szeroką skalę prowadzone badania oceanograficzne. W Polsce znajdują się one jeszcze w fazie zaczątkowej. Winny otrzymać oparcie o uczelnię odpowiedniego typu. Autor jest zdania, podobnie jak i inne osoby zabierające głos w dyskusjach na ten temat, że Gdynia jest powołana do tego, by stać się w przyszłości ośrodkiem polskich badań oceanograficznych. Realizację wszystkich tych planów winna — zdaniem autora — poprzedzić rozbudowa pomorskich zbiorów i zakładów badawczych. Pod tym względem sytuacja toruńska lepsza jest niż gdyńska. Toteż podniesienie Torunia do godności miast uniwersyteckich może być dokonane wcześniej niż realizacja wszechnicy gdyńskiej.

Rozważania własne autora poprzedzone są zarysem retrospektywnym. Starannie zebrany i zestawiony materiał przedstawia nam historię nawoływań o wszechnicę pomorską oraz rozwój dyskusji na ten temat. A toczą się te polemiki już przeszło sto lat. Przyglądamy się licznym projektom niemieckim, często mającym na celu germanizację Pomorza. Polacy również dopominają się o utworzenie wszechnicy w tej

dzielnicy, zapewne nie tylko chcąc podnieść stan oświaty, lecz też wierząc, że potrafią z ewentualnej wszechnicy uczynić ośrodek polskiej kultury. W dyskusjach podnoszono, że pomiędzy Gryfią, Królewcem i Wrocławiem nie było ani jednego uniwersytetu, a między Berlinem, Dreznem i Rygą ani jednej politechniki, co się silnie wyróżniało w zestawieniu z licznymi i gęsto rozmieszczonymi wyższymi uczelniami w innych prowincjach niemieckich. Wiele miast pomorskich ubiegało się o zaszczyt posiadania w swych murach uniwersytetu lub politechniki. Chełmno, Bydgoszcz, Poznań, Gdańsk i Toruń toczyły o to ze sobą boje. Ostatecznie zwyciężył Gdańsk, w którym otwarto w roku 1904 wyższą szkołę techniczną. Lecz i wtedy interpelacje, memoriały i polemiki nie ustały. Po wojnie sprawa wyższego szkolnictwa na Pomorzu nie przestała być palącą. Zabierało głos w tej sprawie m. in. kilku profesorów uniwersytetów polskich, a głosy te znajdowały echo aż za granicą. Ludzie, którym drogie są ideały oświatowe, wysuwali liczne projekty organizacji wszechnicy pomorskiej. Książka Z. Mocarskiego stanowi dojrzały, przemyślany obraz tego zagadnienia. Oby się przyczyniła do ogólnego zrozumienia potrzeby wyższego szkolnictwa na Pomorzu i rychłego rozwiązania tej palącej sprawy.

Henryk Hiż

## KRONIKA POLSKA

### USTAWY I ROZPORZĄDZENIA

Dziennik Ustaw z dnia 6 lutego 1939 r. (nr 9) drukuje rozporządzenie Ministra W. R. i O. P. w sprawie udzielenia Akademii Handlu Zagranicznego we Lwowie prawa nadawania stopnia magistra nauk ekonomiczno-handlowych, jako niższego stopnia naukowego.

W nr 12 z dnia 15 lutego znajdujemy rozporządzenie Ministra Skarbu, wydane w porozumieniu z Ministrem W. R. i O. P. w sprawie utworzenia bezzwrotnych stypendiów dla studentów szkół wyższych, obywateli polskich, którzy zobowiązują się po ukończeniu studiów wstąpić do służby w administracji skarbowej lub urządach względnie instytucjach podległych Ministrowi Skarbu.

Dziennik Urzędowy Min. W. R. i O. P. z dnia 7 lutego 1939 r. (nr 1) podaje rozporządzenie Ministra W. R. i O. P. w sprawie przyjmowania do szkół wyższych osób, które ukończyły licea handlowe dawnego typu, Instytut Administracyjno-Gospodarczy w Krakowie, Instytut Studiów Handlowych i Orientalistycznych w Warszawie, Instytut Nauk Handlowo-Gospodarczych Polskiego Tow. Krzewienia Wiedzy Handlowej i Ekonomicznej w Wilnie, Polską Wyższą Szkołę Handlową Macierzy Szkolnej w Gdańsku. Świadectwa ukończenia tych szkół uprawniają do ubiegania się o przyjęcie do Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, do Akademii Handlu Zagranicznego we Lwowie, do Akademii Handlowej w Krakowie, do Akademii Handlowej w Poznaniu, do Wyższej Szkoły Dziennikarskiej w Warszawie, na Wydział Finansowo-Ekonomiczny Szkoły Nauk Politycznych w Warszawie oraz na Wyższe Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych w Katowicach.

Ten sam numer zawiera rozporządzenie Ministra W. R. i O. P. w sprawie międzynarodowego wypożyczania zbiorów bibliotecznych.

W nr 2 Dz. U. Min. W. R. i O. P. (15.III.39) znajdujemy Statut Studium o Ziemiach Wschodnich przy T-wie Rozwoju Ziemi Wschodnich w Warszawie. Studium to podlega przepisom ustawy z dnia 22 lutego 1937 r. o prywatnych szkołach wyższych. Kurs jest jednoroczny.



## NOMINACJE W PAŃSTWOWYCH SZKOŁACH AKADEMICKICH

Ks. dr Zygmunt Bielawski, emer. prof. zwycz. U. J. K. został mianowany profesorem honorowym na Wydz. Teolog. tegoż Uniwersytetu; Stanisław Chrostowski — profesorem nadzw. grafiki artyst. w Akad. Sztuk Pięknych w Warszawie; ks. dr Stanisław Frankl, doc. i zast. prof. U. J. K. — prof. nadzw. dogmatyki na Wydz. Teolog. tegoż Uniw.; inż. Edmund Lelesz, prof. nadzw. U. S. B. — prof. zwycz. fizjologii zwierząt i nauki żywienia na Wydz. Roln. tegoż Uniw.; dr Franciszek Majewski, doc. Szk. Gł. Gosp. Wiej. — prof. nadzw. uprawy i nawożenia roli na Wydz. Ogrodn. tejsze szkoły; ks. dr Jan Salamucha, doc. i zast. prof. U. J. — prof. nadzw. filozofii chrześcijańskiej na Wydz. Teolog. tegoż Uniw.; dr Józef Siemieński, kierownik Archiwum Gł. Akt Dawnych — prof. zwycz. historii prawa polskiego na Wydz. Prawa U. J.; Konrad Szrednicki — prof. nadzw. grafiki w Akad. Sztuk Pięknych w Krakowie; dr inż. Franciszek Wasilkowski, zast. prof. Polit. Lwowskiej — prof. nadzw. statystyki budowli i budownictwa żelaznego na Wydz. Inż. Łąd. i Wodn. tejsze Politechniki; dr Antoni Żabko-Potopowicz, doc. Szk. Gł. Gosp. Wiejsk. — prof. nadzw. polityki ekonomicznej na Wydz. Leśnym tejsze Szkoły.

## HABILITACJE W PAŃSTWOWYCH SZKOŁACH AKADEMICKICH

Dr Wiktor Bronikowski, adiunkt Szk. Gł. Gosp. Wiejsk. habilitował się jako docent polityki agrarnej na Wydz. Roln. tejsze szkoły; dr Stanisław Hrom, adiunkt U. J. P. — jako doc. chorób wewnętrznych na Wydz. Lek. tegoż Uniw.; dr Józef Mikulski, st. asyst. U. J. — jako doc. zoologii na Wydz. Filoz. tegoż Uniw.; dr Jan Moszew, st. asyst. U. J. — jako doc. chemii organicznej na Wydz. Filoz. tegoż Uniw.; dr Bolesław Skarzyński, st. asyst. U. J. — jako docent chemii fizjologicznej na Wydz. Lek. tegoż Uniw.; dr Eugeniusz Słuszkiewicz, st. asyst. i lektor U. J. — jako docent filologii indyjskiej tegoż Uniw.; ks. dr Franciszek Śmidoda, wicedyr. Śląsk. Semin. Duch. w Krakowie — jako docent historii kościoła w Polsce na Wydz. Teol. U. J.; dr Kazimierz Szarski, st. asyst. U. J. K. — jako docent zoologii na Wydz. Mat. Przyr. tegoż Uniw.

= Akty teroru w wyższych uczelniach we Lwowie, incydenty w Politechnice Gdańskiej i związane ze szkołami akademickimi debaty Senatu przykuły w trymestrze zimowym uwagę nie tylko sfer akademickich, ale i całego społeczeństwa. Nie będziemy tu odzwiercać przebiegu tych wydarzeń, znanych wszystkim z prasy. Głośne przemówienie prof. K. Bartła w Senacie, którego dosłowny stenogram podaje „Polityka” z dn. 25 marca, zostało przyjęte z uznaniem i ulgą przez wszystkich tych, którym w atmosferze wytworzonej w naszych szkołach akademickich oddychać już było trudno. Mowa ta wyzwoliła całą powódź artykułów, dotyczących niedostatecznego przygotowania młodzieży i jego przyczyn, systemu studiów, sprawy należytego rozumienia autonomii szkół akademickich a przede wszystkim atmosfery, w jakiej pracuje się w naszych wyższych uczelniach.

Zmuszeni, wskutek braku miejsca, do pominięcia przeglądu prasy w tym numerze pragniemy tylko zanotować poświęcone tym zagadnieniom artykuły w naszych tygodnikach i dwutygodnikach. Poruszoną przez prof. Bartła sprawę niedostatecznego przygotowania młodzieży podjął w artykule p. t. „Camera obscura” prof. A. Heydel (Obrona Kultury, 1.II.39). Artykuł ten wywołał liczne sprzeciwy. Odpowiada nań St. Rymar w artykule zatytułowanym „Trzeba zmiany, ale jakiej?” (Obrona Kultury, 15. III.39), M. Kukiel w artykule „Obrona kultury na wspak” (Zwrot r. III, nr 10) i J. Czerwiński w artykule „Zła przysługa” (Epoka, 25.III.39). Sprze

ciwy te spowodowały odpowiedź prof. Heydla („Prawdziwa demokracja” — *Obro-  
na Kultury*, 1.IV.39).

W sprawie długotrwałości studiów w szkołach akademickich pisał prof. E. War-  
chałowski w tymże piśmie (15.III.39), tutaj także pisał o konieczności zmiany sy-  
stemu produkcji inteligencji St. Wyrobisz nawiązując do artykułów prof. Heydla  
i St. Rymara.

Na sparaliżowanie działalności uniwersyteckich kół naukowych zwracał uwagę  
W. K. Bieńkowski w artykule zatytułowanym „Gaudeamus igitur” (*Epoka*, 5.III.39),  
przeciw zakusom na autonomię uniwersytetów występował W. Wysocki w artykule  
„W obronie wolności nauki” (*Epoka*, 15.III.39), a w sprawie atmosfery pracy  
lwowskich uczelni napisał szczególnie mocny i bardzo godny uwagi artykuł F. Gil  
 („Bezdroża uniwersyteckie” — *Sygnaly*, 1.IV.39).

## WIADOMOŚCI Z ZRZESZENIA ASYSTENTÓW U. J. P.

W poprzednim numerze „Szkół Wyższych” pisaliśmy o wprowadzeniu tak zwa-  
nego „paragrafu aryjskiego” w Związku Stowarzyszeń Asystentów Państw. Szk. Ak.  
R. P. Poszczególne zrzeszenia stanęły tym samym przed alternatywą: albo zerwać  
z centralą, albo wprowadzić „paragraf” u siebie.

Co do Zrzeszenia Asystentów U. J. P., jednej z najliczniejszych organizacji nale-  
żących do Związku, sprawa była już z góry przesądzona. Jeszcze przed zjazdem de-  
legatów Związku zwolennicy ograniczeń rasowych mieli wyraźną większość w Zrze-  
szeniu As. U. J. P., a do kwalifikowanej większości dwu trzecich zabrakło im na  
zebraniu przedjazdowym zaledwie kilku głosów. Inna sprawa, że przeciw „para-  
grafowi” opowiedział się szereg starych, zasłużonych i posiadających duży au-  
torytet osobisty członków.

Już na pierwszym tegorocznym walnym zebraniu stało się jasne, że zarówno  
zwolennicy, jak przeciwnicy uchwał zjazdowych uważają sprawę za przesądzoną.  
Przeciwnikom „paragrafu” w dawnych władzach Zrzeszenia zdawało się już chodzić  
o jedno tylko: by nie być zmuszonym do przeprowadzania zmian własnymi rękami.  
Odmówili więc przyjęcia ponownego wyboru, a na zebranie zwołane dla uchwalenia  
zmiany statutu nie stawili się lub nie zabierali w tej sprawie głosu. Dziwniejsze, że  
i „zwycięzcy” nie kwapili się jakoś do przejęcia kierownictwa organizacji i moralnej  
odpowiedzialności za zmiany. Na pierwszym po zjeździe walnym zebraniu wytwor-  
zyła się dziwna sytuacja, kiedy nie można było znaleźć nikogo, kto zgodziłby się na  
wystawienie swej kandydatury na prezesa. Toteż gdy znalazł się wreszcie kandydat  
w obozie zwolenników „paragrafu”, który postawił niezwykły warunek, że „przyj-  
mie wybór tylko w tym wypadku, jeśli pozwolą mu samemu wskazać wszystkich  
innych członków zarządu”, przyjęto to bez śladu sprzeciwu.

Trzeba przyznać tak niezwykle powstałemu Zarządowi, że rozwinął zaraz  
w pierwszych miesiącach istnienia bardzo ożywioną działalność, zmierzającą w pierw-  
szej mierze do poprawy warunków materialnych i uprawnień służbowych ogółu  
asystentów, nawiązując kontakty z różnymi instytucjami, składając odpowiednie wnio-  
ski, poruszając bolączki asystenckie w prasie itd. Niekiedy może zresztą i tu zapał  
poniósł go za daleko — jak np. w wywiadzie udzielonym przez prezesa jednemu  
z pism codziennych, w którym przedstawiciel Zrzeszenia Asystentów rozwija teorię,  
że niski poziom naukowy i długi czas studiów młodzieży akademickiej jest w wiel-  
kiej mierze skutkiem — niskich płac asystentów, na których barkach leży głównie  
praca pedagogiczna Uczelni, gdyż profesorzy są właściwie tylko „dyrektorami” pro-  
wadzonych przez siebie zakładów...

Sprawę wprowadzenia „paragrafu aryjskiego” załatwiono formalnie dopiero na



początku r. b., ponieważ teraz dopiero otrzymały zrzeszone w Związku organizacje protokół zjazdu. Nad meritum sprawy nie było już dyskusji, załatwiono ją jakoś wstydliwie w jednym z ostatnich punktów porządku dziennego, w tajnym głosowaniu. Przeciw wprowadzeniu paragrafu padło zaledwie 6 głosów, przy kilku wstrzymujących się. Zgodnie z uchwałami Zjazdu ustalono przy tym, że ograniczenia nie dotyczą obecnych członków — jak jednak publicznie stwierdził jeden z mówców Zjazd zajął takie stanowisko, ponieważ chciał uniknąć niepotrzebnych zadrażnień, a nikt nie wątpił, że i tak żaden asystent-Żyd nie zechce z tego skorzystać.

Można uważać tworzenie zrzeszeń pracowników naukowych, które dobierają sobie członków według rasowych kryteriów za niesłuszne, ale ostatecznie każda grupa, która pragnie być „w swoim towarzystwie” ma prawo to uczynić i nic nie stoi na przeszkodzie powstawaniu zrzeszeń „aryjsko-karaïmsko-tatarskich”, „żydowsko-koturecko-chińskich” itd., itd., a obok nich organizacji otwartych dla wszystkich rzetelnych pracowników w danym zawodzie. Więcej zastrzeżeń budzi inna uchwała tegoż zebrania, uchwała przyjęta na wniosek, zgłoszony jako prywatny, a co do którego samo prezydium miało widocznie skrępyty, bo odczytanie go poprzedziło oświadczenie, że wniosek został zgłoszony w przepisany terminie i zarząd nie widział żadnych względów formalnych, które sprzeciwiałyby się jego umieszczeniu na porządku dziennym. Jest to apel do władz uczelnianych o niezawieranie umów z asystentami-Żydami. Niezawieranie umów jest w warunkach pracy asystentów, którzy formalnie są corocznie angażowani na nowo, także i usunięciem dotychczasowych pracowników. Tak więc organizacja asystentów wzywa swe władze, aby wymówiły pracę niektórym kolegom — i to kolegom, wobec których nie wysuwa się żadnych zarzutów etycznej czy zawodowej natury. Wniosek ten przeszedł olbrzymią większością głosów, przy kilku zaledwie głosach sprzeciwu.

O ile nam wiadomo, wniosek ten nie miał żadnych pierwowzorów w praktyce polskich organizacji pracowników umysłowych, bez względu na to, czy stosując one przy przyjmowaniu członków ograniczenia narodowościowe czy wyznaniowe, czy nie — zbyt silnie sprzeciwia się to naszym dotychczasowym pojęciom o obowiązkach koleżeństwa zawodowego. Tak więc Zrzeszeniu Asystentów stołecznego uniwersytetu przypadło tu smutne pierwszeństwo.

J. K.

= Koło Chemików studentów Uniwersytetu J. P. rozesłało w dn. 10 marca 1939 do swoich członków komunikat następujący:

„Komunikat nr 11/39. Walne Zebranie Koła Chemików S. U. J. P. uchwała, że członkowie Koła utrzymujący jakiegokolwiek stosunki z Żydami będą zaskarżeni do Sądu Koleżeńskiego Koła Chemików S. U. J. P. i w wypadku wyroku skazującego będą skreśleni z listy członków Koła” (tu następuje pieczęć i podpisy).

Czy uchwała ta znana jest Kuratorowi Koła?

\* \* \*

Grupa dawnych członków Bratniej Pomocy Politechniki Warszawskiej, która nie mogła pogodzić z polityczną działalnością tej rzekomo apolitycznej organizacji podjęła myśl stworzenia organizacji własnej. Senat Politechniki debatował blisko 2 lata nad jej statutem, aż wreszcie zatwierdził tę nową organizację samopomocową pod nazwą Akademickiej Bratniej Pomocy Studentów Politechniki (wiadomość tę podajemy za pismem „Mosty”, rok I. 2, luty 1939).

= Lat temu pięć założona została w Wielkiej Brytanii pod przewodnictwem lorda Rutherforda Rada Pomocy Akademickiej (Academic Assistance Council), która miała roztoczyć opiekę nad pracownikami naukowymi, zmuszonymi, ze względów politycznych, do opuszczenia swego kraju. Rada ta przekształciła się z czasem w stałą organizację noszącą nazwę „Towarzystwo Obrony Nauki” (Society for the Protection of Science and Learning). Na czele tej organizacji stoi w tej chwili arcybiskup Yorku.

Według danych, którymi rozporządza Towarzystwo, ponad 1.400 osób spośród personelu akademickiego i pracowników naukowych niezwiązanych ze szkolnictwem wyższym musiało dotąd opuścić Niemcy. W Austrii pracę utraciło około 418 ludzi. Liczba tych, którzy w ciągu ostatniego roku zmarli czy też popełnili samobójstwo jest nieznana. Niektórym uczynom austriackim, którym proponowano jakieś stanowiska za granicą władze zabroniły wyjazdu.

Towarzystwo Obrony Nauki, przy pomocy zaprzyjaźnionych organizacji, zapewniło dotąd stanowiska stałe około 550 uczynom w 37 krajach, na przestrzeni od Australii do Wenezueli, oraz stanowiska tymczasowe około 330 uczynom w 25 krajach. Spośród ogólnej cyfry tych, którym byt zabezpieczono  $\frac{1}{4}$  pracuje w zakresie medycyny i dentystyki, około 100 ludzi w chemii, 74 w ekonomii, ponad 60 w filologii, tyleż w fizyce, 51 w biologii, 43 w prawie i 39 w matematyce.

Gościnność, którą okazały różne kraje w przyjmowaniu uchodźców jest bardzo nierówna. Największą liczbę przyjęły do siebie Wielka Brytania i Stany Zjednoczone (po 250 ludzi w przybliżeniu), 50 osób ustabilizowało się w Palestynie, 25 w dominiach i koloniach brytyjskich. Stany Zjednoczone okazują ostatnio wzmoczoną aktywność w pomocy. A potrzeba tej pomocy jest wielka, bo we Włoszech, wedle informacji Towarzystwa, przynajmniej 140 profesorów (nie licząc młodszego personelu naukowego) utraciło ostatnio stanowiska, a z Czechosłowacji jeszcze przed aneksją spodziewano się około 80 uczonych emigrantów.

A. P.

= Ciekawe szczegóły, dotyczące propagandy hitlerowskiej w uniwersytetach szwajcarskich znajdujemy w Manchester Guardian Weekly z 10 lutego 1939. Władze niemieckie bardzo chętnie udzielają stypendiów na studia w uniwersytetach szwajcarskich. Zgłaszający się o te stypendia petenci podlegają selekcji a później specjalnemu wyszkoleniu. Wyśłani po tym wyszkoleniu do Szwajcarii, organizowani są w tamtejszych uniwersytetach w małe grupki (Kameradschaften), podlegające instrukcjom tych studentów, którzy darzeni są szczególnym zaufaniem. Zadaniem tych grup jest pełnienie funkcji donosicielskich i propagowanie ideologii narodowo-socjalistycznej. Propaganda ta nie natrafia na grunt podatny, przy czym wrogość w stosunku do Niemiec hitlerowskich ma być najsilniejsza w uniwersytecie bazylejskim.

---

REDAKTOR: DR MARIA OSSOWSKA, doc. Uniw. J. P.

---

KOMITET REDAKCYJNY: ANTONI B. DOBROWOLSKI, prof. W. W. P.,  
MANFRED KRIDL, prof. U. S. B., FLORIAN ZNANIECKI, prof. U. Pozn.

---

WYDAWCA W IMIENIU ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO:  
STANISŁAW KWIATKOWSKI

---

REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA



„NASZA KSIĘGARNIA” Sp. Akc.  
ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

Warszawa, ul. Świętokrzyska 18, konto P. K. O. 2.058

posiada przedstawicielstwa na prawach składu głównego następujących instytucji:

Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego  
Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych  
Naukowego Towarzystwa Pedagogicznego w Krakowie  
Instytutu Literackiego w Warszawie  
Instytutu Śląskiego w Katowicach  
Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Warszawie  
Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Zakopanem  
Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem.

**ODDZIAŁY WŁASNE:**

Lublin, ul. Krakowskie Przedmieście 38, konto P. K. O. 144.800.  
Wilno, ul. Wielka 42, konto P. K. O. 700.547.

**WYDAWNICTWA WŁASNE:**

Podręczniki szkolne  
Biblioteka Dzieł Pedagogicznych  
Encyklopedia Wychowania  
Teatr szkolny i domowy  
Z praktyki szkolnej  
Ze świata przyrody  
Opowieści przyrodnicze  
Książki dla dzieci i młodzieży  
Beletrystyka  
Wydawnictwa kartograficzne.

**SKŁADY GŁÓWNE WYDAWNICTW WŁASNYCH**

Katowice: Księgarnia Katolicka, ul. Św. Jana 14  
Kraków: Księgarnia „Szkolnica”, ul. Wiślna 3  
„ Księgarnia Gebethner i Wolff, ul. Rynek 23  
Lwów: Księgarnia „Książka”, ul. Czarnieckiego 12  
Łódź: Księgarnia S. Seipelt, ul. Piotrkowska 47  
Poznań: Księgarnia Św. Wojciecha, Pl. Wolności 1.

# ANTOLOGIA

WSPÓŁCZESNEJ POEZJI POLSKIEJ 1918 – 1938

opracowana przez:

LUDWIKA FRYDEGO i ANTONIEGO ANDRZEJEWSKIEGO

już wyszła z druku nakładem „NASZEJ KSIĘGARNI”, Sp. Akc. Związku Nauczycielstwa Polskiego. Księga ta, o objętości blisko czterystu stronic, zawiera z górą dwieście utworów poetyckich osiemdziesięciu dziewięciu autorów. Poprzedza je zwięzłe studium o rozwoju poezji polskiej w ubiegłym dwudziestolecu; uzupełnia indeks bibliograficzny, gdzie znajdują się informacje o każdym autorze, wykaz jego publikacji poetyckich oraz głównych opracowań krytycznych, dotyczących jego twórczości.

Analogia ta została pomyślana i wykonana najzupełniej samodzielnie i oryginalnie. Dzieli się ona na jednaście rozdziałów-cykłów, wyodrębnionych na zasadzie tematycznej; w obrębie cykłów panuje kolejność chronologiczna.

Tytuły rozdziałów brzmią:

- I. PROGRAM.
- II. CODZIENNOŚĆ.
- III. PRZESZŁOŚĆ.
- IV. SZEROKI ŚWIAT.
- V. HUMOR.
- VI. PRACA i WALKA.
- VII. POEZJA PRZYRODY.
- VIII. ŻYCIE WEWNĘTRZNE.
- IX. CZYSTA SZTUKA.
- X. POEZJA RELIGIJNA.
- XI. DZIEJE WSPÓŁCZESNE.

W ten sposób zamiast zbioru luźnych wierszy otrzymujemy w tej analogii jednolitą książkę do czytania i studiowania, książkę, która daje pierwszy ściśle obiektywny obraz współczesnej poezji polskiej w jej dwudziestoletniej ewolucji ideowej i artystycznej.

CENA zł 8.—

CENA zł 8.—

**NASZA KSIĘGARNIA SP. AKC. ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO**

WARSZAWA  
ŚWIĘTOKRZYSKA 18  
Konto P. K. O. 2058

LUBLIN  
KRAK. PRZEDMIEŚCIE 38  
Konto P. K. O. 144.800

WILNO  
WIELKA 42  
Konto P. K. O. 700.547